

WOJCIECH WRZOSEK

*Instytut Historii
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu*

DOGMATYCZNY „METODYSTA” PRZECIWKO METODOLOGII HISTORII

Atak Dariusza Andrzeja Sikorskiego na metodologię historii, zawierający kompromitujące jego autora opinie pod adresem kolegów profesorów Emmanuela Le Roy Laduriego i Carla Ginzburga, niegodziwe sugestie pod adresem Arona Guriewicza, irracjonalne zarzuty pod adresem autorki recenzowanej książki¹, a także dyscypliny, którą reprezentujemy, i insynuacje pod adresem prowadzonego przeze mnie seminarium to okoliczności, które skłoniły mnie do zabrania głosu w sprawie tekstu, o którym powinno się milczeć. Fakt, że publikuje go „Kwartalnik Historyczny”, przez wielu respektowane pismo środowiska historycznego, skłonił mnie do wyrażenia solidarności z autorką i jej repliką² poprzez podjęcie tych wątków artykułu Sikorskiego, które bezpośrednio nie dotyczą jej pracy.

„Kwartalnik Historyczny” chwali się, że teksty nadsyłane do redakcji recenzowane są niekiedy przez trzech specjalistów. Pismo zamieściło jednak tekst autorstwa poznańskiego historyka, nie zauważając ani niekompetencji autora, ani obskuranckiego stylu prowadzenia krytyki. Poznański mediewista kompromituje mediewistykę wtedy, gdy wypowiada opinie na miarę wulgaryzacji idei szkoły metodycznej.

Z kolei wyprawa Sikorskiego w świat teorii historii to rodzaj intelektualnego monstrum. To konglomerat opinii, wobec których rozum i logika, bywa, nie dają rady. Oto tylko wybrane przykłady twórczości

¹ D. A. Sikorski, *Jak historyk potyka się o antropologię historyczną. Na marginesie książki Karoliny Polasik, Antropologiczny rekonesans historyka. Szkice o antropologii historycznej*, KH 118, 2011, 3, s. 485–510.

² Chodzi o tekst Karoliny Polasik-Wrzosek *Jak historyk potyka się z metodologią historii* — opublikowany w 2 numerze KH z 2013 r., s. 327–349, będący repliką na artykuł D. A. Sikorskiego.

poznańskiego mediewisty, które — jak się okazało — nie wzbudziły wątpliwości ani redakcji, ani recenzentów „Kwartalnika Historycznego”.

Nie było ani antropologii historycznej, nie było żadnych istotnych dla historiografii *turns*

W artykule swym Sikorski realizuje organiczną potrzebę zastąpienia zasadnych opinii swymi niefrasobliwymi, ale za to radykalnymi poglądami. Uzbrojony w duży kwantyfikator — i jakby mu nie dość jednego — asekurując się orężem pochopnych sekciarzy, czyli kolejnym dużym kwantyfikatorem, głosi bezbronną wobec krytyki tezę:

„Różnego rodzaju «zwroty» metodologiczne ogłaszane w ostatnich dekadach nie oferowały żadnych zmian u samych podstaw badań historycznych, nie stworzyły «nowego źródłoznawstwa» historycznego ani metodyki badań”³ (s. 486, podkreśl. W. W.).

Użyty w tej opinii kwantyfikator (pod postacią wyrażen generalnie kwantyfikujących: „różnego rodzaju” „żadnych zmian” itp.) pozbawia ją szans na obronę. Jak wiemy, już stwierdzenie istnienia pojedynczego zjawiska falsyfikuje tezę o jego powszechnym nieistnieniu.

Z kolei dodatkowo opinia, że „zwroty metodologiczne nie stworzyły «nowego źródłoznawstwa»”, jest co najmniej pochopna. Sikorski oczekuje, że „zwroty metodologiczne” miałyby „stworzyć” (*sic!*) „nowe źródłoznawstwo”!? Jeśli tak, to może miałyby być po prostu „zwrotem źródłoznawczym”?

Jeśli, jak sądzi się, owe „zwroty” ogłaszane w ostatnich dziesięcioleciach w różnych domenach kultury i humanistyki, są istotnymi prze-

³ Dla tej nieprawdopodobnie generalizującej i jednocześnie o trudno uchwytnym sensie tezy nie znajdzie Sikorski zwolenników. A jeśliby jednego znalazł, to będziemy mieli dwuosobową sektę. Gdyby choć dodał, że owe „zwroty” nie zaoferowały — je mu, tj. Sikorskiemu, żadnych... To wówczas dałoby się na podstawie jego osobistych wyznań utrzymać tę tezę. Opinia ta jest ewidentnym fałszem dla większości obserwatorów i analityków życia intelektualnego (akademickiego/naukowego i pozanaukowego) ostatnich dziesiątków lat. Nie sposób poważnie twierdzić, że nic poważnie istotnego nie zaszło u podstaw badań historycznych... Może rzeczywiście taka jest perspektywa środowiskowa Sikorskiego, ale trzeba wówczas zaznaczyć, że chodzi o jakąś wspólnotę badawczą wokół Sikorskiego i jego nauczycieli (choć może na zasięg kilkudziesięciu lat to i on sam wystarczy). Gdyby tak było, wówczas wyznanie to możemy przyjąć do wiadomości jako wyznanie wiary osamotnionej jednostki... Jako doświadczenie ekskluzywnej grupy. Jeśli tylko choć jeden humanista lub historyk publicznie ją poprze, to trzeba będzie sporządzić bibliografię stosownych prac wykazujących niezbitcie, że Sikorski się grubo myli. Myślę, że teza ta nie broni się w odniesieniu do żadnego istotnie długiego wycinka dziejów myślenia. Jest to teza w odniesieniu do okresów niepotwierdzonych źródłowo kontrintuicyjna.

mianami praktyki humanistycznej (w tym niekiedy – historiograficznej) i towarzyszącej jej promującej ją refleksji, to dlaczego autorzy owej nowej praktyki badawczej – tu historiograficznej – mieliby „stworzyć nowe źródłoznawstwo”? A może zaprojektowali jedynie i niekiedy nową empirię badań historycznych? Dlaczego badacze, afirmujący owe zwroty, w tym teoretycy/filozofowie humanistyki, mieliby „stworzyć nowe źródłoznawstwo”? Mieliby poczuwać się do posłannictwa źródłoznawcy? A czym wtedy zajmowałiby się źródłoznawcy?⁴

Zauważę przy okazji, że Sikorski obnaża swoje niezrozumienie metanaukowego statusu źródłoznawstwa, tak jak nie rozumie metanaukowego statusu metodologii. Mało tego, nie przeszkadza mu, że tu i ówdzie obnosi się z respektem dla spuścizny Kazimierza Ajdukiewicza, której nie sposób rozumieć bez rozumienia metajęzykowego statusu zarówno filozofii, jak i metodologii nauki. Przy okazji nie tylko nie rozumie Sikorski różnicy między stwarzaniem (stworcą) a tworzeniem (twórcą), co nie jest tylko niezręcznością językową, ale oczekuje, że np. Le Roy Ladurie, choć – jak mniemają niektórzy – w sposób kreatywny i niekonwencjonalny wykorzystał konwencjonalne źródło, tworząc jedną z najsłynniejszych książek historycznych XX w., to przy okazji powinien „stworzyć” lub „współtworzyć nowe źródłoznawstwo”! A może nie tylko historycy *proper*, ale i teoretycy, dekretujący owe zwroty, mieliby „stworzyć nowe źródłoznawstwo”, po to, by przekonać Sikorskiego, że rzeczywiście zaśzło coś nowego?

Zgroza! Czyżby „zwroty” są „zwrotami” wówczas, kiedy „zawrócą” źródłoznawstwo?

To fundamentalne niezrozumienie statusu refleksji metodologicznej i teorii historii posłużyć może równie dobrze do wydziwiania nad wielkością klasycznych, uznanych, sławnych, respektowanych prac metodologicznych, a i historiograficznych, historiozoficznych... w nich także nie dokonuje się, z mocy oczywistości – często programowo – przejścia na poziom przedmiotowy. Nie zachodzi zazwyczaj pomylenie ról historyka z teoretykiem historii/historiografii. Nasz mediewista postulatami swymi ignoruje zastany dorobek refleksji nad historią, i to nie tylko ten postmodernistyczny⁵. Ignoruje metodologię niepostmodernistyczną, ale i każdą.

⁴ *De facto*, moim zdaniem, ogląd tego, co i jak może posłużyć za empiryczną podstawę badania historycznego, czyli za źródło historyczne, i jak je można eksplorować jako takie oraz w jaki sposób można pożytkować w argumentacji/uzasadnianiu historycznym, uległ daleko idącym zmianom względem klasycznych opinii w tej kwestii. Tak raczej mogłaby brzmieć opinia, która miałaby szansę na zgodę w środowisku historyków.

⁵ Już sama użyta przez recenzenta kwalifikacja: „postmodernistyczna jak i post-

Sikorski bowiem oczekuje, że metodolog czy historyk historiografii wejdzie w rolę interpretowanych przez siebie historyków, podejmie się zadań historyka określonej branży przedmiotowej. Zacznie weryfikować, na ile poprawnie jakiś historyk interpretuje źródła, czy np. adekwatnie ustala relację między tzw. zdaniami historiograficznymi a rzeczywistością historyczną, itp. „Dlatego interesuje nas nie tylko problem umiejętności i sposobu przedstawiania owych ludzi na kartach książek, ale zgodność tego przedstawienia z tym, co można faktycznie o nich się dowiedzieć w zachowanych źródłach” (podkreśl. W. W.) – konkluduje Sikorski (s. 509).

I tu jest właśnie sedno sprawy. Interesuje Sikorskiego „zgodność tego przedstawienia [ludzi w Montaignou – przyp. W. W.] z tym, co można faktycznie o nich się dowiedzieć w zachowanych źródłach” napisał.

Ową „zgodność” może w trybie uzasadniania zdań historiograficznych wykazać mediewista, a nie metodolog. Czyżby mediewiści przejrżeli na oczy i powołują na audytorów wiarygodności swych poczynań metodologów? Czy Sikorski wyraża wspólnotowe dla mediewistów rozumienie powinności metodologów? Czymże wówczas zajmowałiby się historycy?

Niech czytelnik zauważy, że to, „co można faktycznie o nich się dowiedzieć”, wie lub dowie się Sikorski lub jemu podobni, tj. specjaliści od analizy/rozumienia źródeł danego rodzaju. Oto przykład prostolinijności lub demagogii. A czegoż to faktycznie dowiedział się ze źródeł Sikorski, czego się nie dowiedział Ginzburg i jego koledzy z branży? Może jakiś przykład?

Sikorski, podobnie jak dowolny mediewista, nie dowie się niczego istotnego i subtelnego historycznie ze źródeł, póki nie dopracuje się kompetencji historycznej w danej wąskiej dziedzinie źródłowości i tradycji ba-

postmodernistyczna (czy generalnie współczesna) krytyka teoretyczno-historiograficzna” (s. 508) to określenie wynikające z patosu bezmyślności suflera Sikorskiego, to sygnał, że jeśli już „generalnie współczesna”, to po co tu owe wielokrotności post, skoro i tak nie wiadomo, o jaki nurt konkretny owej krytyki chodzi. Czyżby „współczesna” oznaczałoby tylko postpost... A niepost już nie...? Zgroza. Moim zdaniem to ignorowanie – *via* bezmyślność – dorobku refleksji metodologicznej co najmniej od Wilhelma von Humbolta, Johanna Gustava Droysena, Karla Lamprechta, Wilhelma Diltheya, Heinricha Rickerta, aż po najnowsze. We francuskiej, od co najmniej sporu François Simiand – Charles Seignobos, po czasy Michela de Certeau i Michela Foucaulta, w polskiej od Marcellego Handelsmana poprzez Władysława Konopczyńskiego, Jerzego Topolskiego... W tym zdaniu pobrzmiwia wrzucanie w tej sprawie wszystkich tzw. postmodernistów do jednego worka. Zapewne dlatego, że w ramach tej kulturowej formacji – jaką reprezentuje Sikorski – niczego się nie rozróżnia i publicystycznie z góry postponuje, nie grzesząc ani znajomością, ani tym bardziej celną krytyką.

dawczej (zastanej, uznanej literatury przedmiotu) dotyczącej określonego złożonego fenomenu historycznego, epoki, regionu historyczno-kulturowo-językowego...

Z perspektywy naiwnego empiryzmu

Na s. 507 nasz recenzent tropem — jak sam określa — „drobiazgowej krytyki źródłowej”, Andrei Del Cola z 1990 r., wylicza trudności, jakie napotyka interpretacja źródła, z którego korzystał Carlo Ginzburg, i konkluduje: „Powyższe uwagi nie znaczą, że w całości badania tego rodzaju są skazane na niepowodzenie, ale że należy je przeprowadzać metodycznie” (s. 507; podkreśl. W.W). Dowiadujemy się z tej opinii Sikorskiego, że gdyby badania Ginzburga były prowadzone metodycznie, to miałyby szanse na powodzenie. Tak więc póki co, skończyły się niepowodzeniem?⁶

Owe trudności, jakie napotykał Ginzburg, zdaniem Del Cola są następujące: 1) tekst zeznań w trakcie spisywania ulegał zmianom, 2) pytania na przesłuchaniach dotyczyły odstępstw od wiary przesłuchanego, 3) wystąpiły różnice w intencjach przesłuchujących, 4) zachodziły niezrozumienia/nieporozumienia między przesłuchującymi a przesłuchiwanym, 5) sentencję wyroku sporządzono w duchu teologicznym, 6) zeznania Menocchia zapisano jedynie w potocznej łacinie (i „pozostał z nich szkielet”). Tego typu trudności dałoby się przezwyciężyć, sugeruje Sikorski, gdyby Ginzburg prowadził badania metodycznie? Ginzburg nie przedsięwziął stosownych metod i poniósł fiasko? Tj. włoski historyk nie miał świadomości tych „trudności”?

W obliczu takiego *dictum* metodolog jest zdruzgotany. Czyżby analizując akta inkwizycyjne, i to w celu pozyskania informacji służących do zrekonstruowania wizji świata pewnego młynarza z XVI w., można było oczekiwać innej sytuacji metodyczno-metodologicznej?

Czy należało się spodziewać, że Menocchio będzie zeznawał w sposób spójny i konsekwentny, że będzie on rozumiał intencje pytających — w szczególności teologiczny ich sens, nakierowany na tropienie herezji, który to cel przyświecał sądowi? Czy na linii komunikowania/interpreto-
wania: zeznania Menocchia/brudnopis protokołu/ostateczny kształt protokołu/interpretacja Ginzburga spodziewał się Sikorski jednoznaczności? Del Col i Sikorski spodziewali się, że w procesie o herezję sentencja

⁶ Wreszcie, po latach światowej sławy, historyk, zaznawszy uznania, szacunku ze strony wspólnoty badawczej, dowiaduje się od Sikorskiego, że jego badania zakończyły się fiaskiem. Staje jednak przed szansą rozpoczęcia ich wreszcie w sposób „metodyczny”.

wyroku nie będzie wyrażona w języku i terminologii sądu inkwizycyjnego? A w jakich kategoriach jakiego języka miałyby być zapisana? Czy Sikorski spodziewał się, że Menocchio podyktuje spójną wizję świata na potrzeby Ginzburga i naszych dzisiejszych zainteresowań? Czy Del Col i Sikorski myślą, że proces i jego zapis to jest to samo, co całościowy światopogląd Menocchia, i to w dwudziestowiecznym ujęciu włoskiego historyka?

Kto się tego mógł spodziewać? Jedynie zwolennik realizmu naturalnego oraz empiriokrytycznej/leninowskiej teorii odbicia. Historyk nożyc i kleju w rozumieniu Robina G. Collingwooda. Historyk spisujący źródło i chadzający tropem wyrażonych w nim „faktów”⁷.

Zastanówmy się, jakie postępowanie badawcze — „przeprowadzone metodycznie” — daje sobie radę z tymi wymienionymi trudnościami. Tu Sikorski nie daje żadnej konkretnej recepty, jedynie nawołuje do tego, aby badania przeprowadzać metodycznie? Tak nawołuje demagogiczny zwolennik metody krytycznej, gołosłowny jej piewca. Czy Sikorski chce zaradzić ewentualnemu plątaniu się w zeznaniach Menocchia? Ma zamiar uczynić jego wizję świata spójną? Jakie to nieelitarnie przekonania wówczas były koherentne? A czy te dzisiaj żywione i wyrażane w trybie nieprofesjonalnym/nieelitarnym bywają spójne? Jaki to zeznający w ciągu wielu lat nie zmienia swoich przeświadczeń/zeznań w różnych sprawach? Co robi Sikorski w kwestii różnych intencji przesłuchujących? Ustali, jak one odcisną się na zeznaniach Menocchia, a przedtem ustali, jakie one były pomimo tych intencji? Jak Sikorski znieś wzajemne niezrozumienia między przesłuchującymi a przesłuchiwanym? Poprawi je? Może zmieni protokoły czy może poprawi młynarza wizję świata z tego wynikającą? Jak uzupełni Sikorski ów „szkielet poglądów” Menocchia, który daje jedynie Ginzburg? Skąd weźmie Sikorski „mięśnie” i inne fragmenty niezbędne do uzupełnienia „szkieletu”?

Del Col i Sikorski wiedzą, jak te bariery przezwyciężyć? Czy też radzą nie badać podobnych zjawisk, zgłębiać podobnych źródeł, bo się i tak nie uda dzięki nim dotrzeć do świata badanego?

Stanowisko wzywające do przeprowadzenia „metodycznych badań”, bez wskazania, jak to niby one mają zaradzić trudnościami — w rzeczy

⁷ R. G. Collingwood, *The Idea of History*, Oxford 1961; W. Wrzosek, *Losy źródła historycznego (refleksje na marginesie R. G. Collingwooda)*, w: *Świat historii. Prace z metodologii historii i historii historiografii dedykowane Jerzemu Topolskiemu z okazji siedemdziesięciolecia urodzin*, red. W. Wrzosek, Poznań 1998, s. 411–417. Przedruk w: „Rocznik Antropologii Historii” 2011, 1/2, s. 209–216; *Źródło historyczne jako alibi realistyczne historyka*, w: *Historyk wobec źródeł. Historiografia klasyczna i nowe propozycje metodologiczne*, red. J. Kolbuszewska, R. Stobiecki, Łódź 2010, s. 23–38.

samej trudnościom o charakterze epistemologicznym — nazywam demagogicznym metodyzmem. Nawybrzydzać w kwestiach dla radykalnych empirystów oczywistych i następnie zadeklarować, że przeprowadzone badanie metodycznie temu zaradzi — to rezultat bezkrytycznej wiary w jego moc. A może zwolennik tej opinii zaprezentował choćby jeden przykład dowodzący, jak to z jednym z sześciu wymienionych zastrzeżeń Del Cola/Sikorskiego radzi sobie badanie „przeprowadzone metodycznie”? A przecież do owych sześciu kłopotów badawczych/poznawczych/interpretacyjnych można dorzucić jeszcze tuzin. Z żadnym z nich nie poradzi sobie metodyczny krytycyzm. Dlaczego?

Dlatego, że owa doktryna zbudowana jest na iluzorycznych przesłankach. Jedną z nich jest złudzenie, że istnieje możliwość dotarcia do „obiektywnej” „faktycznej” rzeczywistości, że możliwe jest — jeśli tylko mocno się zaprziesz metodycznie — ustalenie, jakie to „faktycznie” miał poglądy Menocchio. Możliwe, tak „z wyżyn oka bożego” (Putnam), na przekór wszelakim barierom dotrzeć do rzeczywistości. Rzeczywistości zasłoniętej przez choćby takie — jak podpowiada naiwny empiryzm — różnice:

- 1) między protokołem inkwizycyjnym a dyskursem współczesnej historiografii zainteresowanej mentalnością minioną;
- 2) między sposobem syntetyzowania myślenia Menocchia, jaki przyjął Ginzburg, a owym źródłowym światem myślenia Menocchia;
- 3) między językiem myślenia Menocchia a językiem Inkwizycji (tu kilkanaście wariantów i wersji kwestii znanej pod hasłem problemu translacji kulturowej (niezdeteminowanie przekładu *etc.*);
- 4) między światem Menocchia a światem przesłuchujących (dwóch, dorzuci skrupulatny Sikorski, i pewnie wraz z Del Colem nie tylko stwierdzą ich odmienność, ale, w szczególności, w zeznaniach Menocchia i stawianych mu pytaniach ową różnicę — dzięki metodycznemu krytycyzmowi — ją uchwycą i nam ukażą!);
- 5) między językiem lektur młynarza z Friuli (kategoriami ontologicznymi z nich przez Menocchia po części wziętymi) a „dogmatami katolickiej prawomyślności” tamtejszej ówczesnej inkwizycji;
- 6) między przypadkiem kultury oralnej skażonej kulturą elitarną zmieszaną z popularnymi tekstami, czyli światem Menocchia, a światem utylitarnej teologii przesłuchujących;
- 7) między światem ludowego odstępstwa od dogmatyki kwalifikowanej przez Kościół jako ludowy przesąd a odstępstwem już o posmaku herezji.

Czy te kłopoty przewycięży Sikorski, bo postąpi metodycznie, czy też uzna, że ich nie ma, bo nie wymienił ich Del Col i sam Sikorski na nie nie wpadł?

Powtórzmy — elementarne spostrzeżenia na temat sytuacji badawczej, w jakiej znalazł się Ginzburg, wysuwane przez Del Cola i afirmowane przez Sikorskiego jako trudności badawcze, jawią się jako takie wtedy, gdy pozostaje się w okowach dogmatycznego, naiwnego empiryzmu.

To on domaga się niemożliwego, a ponieważ niemożliwe jest nieosiągalne, cóż pozostaje? Ogłosić niepowodzenie Ginzburga (a także z tego samego powodu porażkę Le Roy Laduriego). Powrócić na łono dziewiętnastowiecznej historiografii i na podstawie tego źródła stwierdzić, jaki został wyrok wydany na Menocchia, oburzyć się na jego drastyczność lub bronić jego słuszności, w imię uniwersalnych czy partykularnych norm takich czy innych. Poprzestać na tym, „co mówi ci dosłownie źródło”. Gdyby tak bywało w relacji historyk/źródło, już dawno nie byłoby historiografii.

Gdyby tak powszechnie myśleli historycy, to niektórzy z nich nie podejmowałiby się zadania, jakiego podjął się Ginzburg. Zadanie to było np. takie oto: spróbować dotrzeć do świata badanego, wystawić się na konstruktywną krytykę, pobudzić wyobraźnię i kreatywność innych w badaniu kultury czasów Menocchia. Wspólnota badawcza historyków okazała się w tej ostatniej kwestii zdania, że należy poddawać pod krytyczny osąd wszelkie, choćby nietypowe i ryzykowne przedsięwzięcia badawcze.

Pomimo opinii Sikorskiego świat ogłosił sukces Ginzburga i Le Roy Laduriego. Ich książki to jedne z najbardziej znanych i cenionych dzieł dwudziestowiecznej historiografii. Kultowe dzieła zarówno dla mikrohistorii, jak i dla antropologii historycznej, badań nad *mentalité*, historycznych badań nad kulturą ludową i nad średniowieczną religijnością ludową⁸.

Filolog jako łowca dosłownego znaczenia tekstu historycznego

Stanowisko naiwnego empiryzmu — zdezawuowane wielokrotnie przez filozoficzną refleksję — ocalone być może przed krytyką trwającą już dziesiątki lat tylko wtedy, gdy w sposób fanatyczny pozostaje się mu wiernym i nie słucha niczego innego. Ginzburg wie, że z kłopotami typu Del Col nie radzi sobie żadna z metod z arsenału klasycznej metodyki badania historycznego⁹. Dlaczego? Dlatego, że polegnie ona wobec krytyki swego dog-

⁸ Nie zmieni tego krytykanckie zaciętrzewienie i niezdolność Sikorskiego do „odczytania na swój użytek” tych przedmiotowych i metodologicznych właściwości tych dzieł.

⁹ Jeśli nie radzi sobie, to może właśnie dlatego, że ogranicza ona nasze możliwości poznawcze, zdają się sądzić Ginzburg i Le Roy Ladurie. Zatem trzeba być może je do pewnego stopnia zawiesić. Nie jest tak, jak sądzi Sikorski, że historycy ci nie znają rudymetów dogmatycznego metodyzmu. Były one kontestowane zarówno przez kolejne pokolenia badaczy, np. historyków z kręgu „Annales”, jak i rozległy antypozytywistyczny nurt myślenia historycznego.

matu pierwszego. Jest nim wiara, że istnieje w badaniu sfera niekwestionowanych faktów (źródłowych) i możliwa do oddzielenia od nich sfera ich interpretacji. Sikorski, wbrew temu, bez cienia żenady głosi skrajnie naiwną tezę mędrka¹⁰. Cytuję: „Antropolog historyczny jak każdy historyk musi tekst — obojętnie jaki — umieć po prostu przeczytać (w dosłownym znaczeniu) i zrozumieć na poziomie filologicznym, dopiero potem można tekst poddawać różnego rodzaju — jak to się ostatnio formułuje — strategiom interpretacyjnym” (s. 503; podkreśl. W. W.).

Po takiej deklaracji wszystko jest jasne. Proszę sobie wyobrazić: istnieje dosłowne znaczenie tekstu. Mało tego, to jego zrozumienie, uchwycenie owej dosłowności (*sic!*), następuje po „przeczytaniu i zrozumieniu na poziomie filologicznym”, deklaruje mediewista poznański. Nasuwa się pytanie: jaki to filolog ów tekst przeczyta dosłownie? Każdy? Czy może jednak raczej filolog specjalista od tekstów z tych czasów i miejsc ich powstawania? Czy nie jest tu przypadkiem niezbędny raczej nie filolog, lecz historyk kościelny, włoskiego/ „friulańskiego” wymiaru sprawiedliwości, a co najmniej — znawca kultury ludowej i oficjalnej tamtych czasów, „naczytany” tamtejszych źródeł i literatury przedmiotu. Zdaniem Sikorskiego, wystarczy Sikorski. On sam odtworzy „dosłowny” sens tekstu, jak FILOG¹¹.

Cóż to za ekskluzywnie staroświecka opinia¹². Kto dzisiaj uważa, że dowolny historyk może „przeczytać” „dowolny” tekst i w „dosłownym

¹⁰ „Mędrak” — termin użyty przez Sikorskiego wobec Menocchia, tak sobie, z właściwą sobie protekcyjnością, bez zdania racji i argumentu. Sikorski wie, co jakie jest, i to bez przytoczenia uzasadnienia stwierdza. „Mędrak” to mędrak, każdy wie, co to mędrak, taka kategoria stratyfikacji społecznej Sikorskiego. I skoro Sikorski mówi, że mędrak, to po co analizy? Ze źródeł to wynika dosłownie, że Menocchio to mędrak. Zgroza.

¹¹ Np. dowie się, jaki zapadł wyrok, ale dlaczego „zabobonna” i ekscentryczną wizję świata Menocchia uznano jednak za heretycką, już nie. Nie odczyta, jaka to wizja świata ziemskiego i transcendentnego mieściła się w ramach oficjalnej (choć w wydaniu lokalnej Inkwizycji) doktryny, a jaka już nie. Tego ze źródła, tłumaczonego na nowożytny język, ani z oryginału — tak bez przygotowania interpretacyjnego w zakresie tej problematyki historyczno-kulturowo-teologiczno-prawno-prawniczej — nie da się odczytać „dosłownie”. Czy ktoś wierzy, że Sikorski może poprawnie dokonać takiej analizy, nie specjalizując się w stosownej dziedzinie badań? Bo przeczyta dosłownie źródło?

¹² Życzliwie mówiąc, brzmi to jak zawołanie Ulricha von Wilamowitz-Moellendorffa: „alles, alles gehört zur Philologie”, albo jak myślenie z ducha Hermana Paula z *Prinzipien der Sprachgeschichte* z 1909 r. Wtedy, a i później, u nas Tadeusz Zieliński, lansowano unię filologii i historii. Jednak dzisiaj filologia to inna dyscyplina. „Sprachkunde” to była nauka pomocnicza historii, jak piszą Charles Langlois i Charles Segnobos: w Niemczech, ale już nawet wtedy, nie we Francji (np. W. Konopczyński, „Historyka”, mps udostępniony mi przez prof. Rafała Stobieckiego, s. 56). A co dopiero dzisiaj...

znaczeniu” „zrozumieć na poziomie filologicznym”? A może to ta wszechogarniająca i docierająca do „dosłownego znaczenia” metoda filologiczna, „nauczana w kursach uniwersyteckich”, daje takie kompetencje? Czy takie to wyobrażenie o metodzie historycznej kultuwują dzisiaj mediewiści?

À propos, Sikorski zarzuca Karolinie Polasik i innym interpretatorom Le Roy Laduriego i Ginzburga, m.in. autorom pracy *Montaillou in Groningen*, a także Jerzemu Strzelczykowi (s. 500), że nie przeczytali źródeł, na których oparli się interpretowani autorzy (s. 509), ale przy tej okazji nie wymienia siebie, bo po co? Może pomyślałby ktoś, że wypowiada się o czymś, czego sam nie zna. Zresztą Sikorskiemu wystarczy, że wie, że owe źródła wydano...

Śmierć metarefleksji

Zarzuty formułowane w tekście Sikorskiego powinny być kierowane pod adresem refleksji metodologicznej *en globe*, a nie przeciwko krytykowanej książce. To metodologia historii — przynajmniej ta opisowa, jaką się w większości przypadków uprawia — nie zajmuje się szacowaniem prac historycznych na okoliczność prawdy, a nie tylko K. Polasik.

Gdyby metodologia zajmowała się tym, czy historycy napisali prawdę, czy nie, to historycy *proper* pytaliby słusznie, dlaczego to metodolodzy uzurpują sobie prawo do legitymizowania — na okoliczność prawdy — np. mediewistów, egiptologów, historyków gospodarczych, historyków kultury itp., skoro nimi nie są. Pytaliby, czy z perspektywy metodologa prawdę widać lepiej niż z poziomu zwykłego historyka i niby dlaczego. Pytaliby: po co byłoby uprawianie historii, skoro to metodolodzy wiedzą, jaka i gdzie prawda jest?

Jasne jest dla mnie, że kwestia granic kompetencji przedmiotowej i metajęzykowej dla Sikorskiego nie istnieje wtedy, gdy zajmuje się on jakoby problematyką badania historycznego. Dlaczego? Dlatego, że nie odróżnia on teorii poznania historycznego (w tym i metodologii nauk historycznych) od metodyki badania historycznego, którego mieni się być specjalistą. Sprowadza on tę pierwszą do tej ostatniej i dziwi się na wielu stronach, że ona nią nie jest. Może nawet nie tyle sprowadza, ile raczej wyobraża sobie tylko/jedynie, że badanie rozgrywa się tylko na dwóch poziomach: strona badająca/rzeczywistość badana, i to w skrajnie uproszczonych relacjach między nimi. Świadomość metodysty Sikorskiego jest sprzed Handelsmana i Blocha, sprzed sławnego sporu wokół Lamprechta, sprzed lat wielu wzięta.

W konfrontacji z problemami metodologicznymi i historiograficznymi — tymi sprzed stu lat i tym dzisiejszymi, szkoła metodyczna okazała

się tylko historycznym wariantem ludzkiego myślenia o poznaniu i badaniu historycznym. Metodologia zarówno ta w wydaniu Droysena czy Bernheima, jak i ta dzisiejsza stawia pytania, na które odpowiedzi nie udzieliłby metodysta krytyczny *à la* Sikorski, bo nie widzi potrzeby wątplenia w prawdy wprzód odruchowo przyjęte. Co więcej, metodologiczne wątpliwości metodysta obdarza niechęcią, bo zagrażają one utrwalomu zasadom badania historycznego, tak jak je — bywa często — widzą historycy.

Paradygmat empiryzmu w wydaniu Sikorskiego to jednocześnie paradogmat¹³ naiwnego realizmu. To nie jest krytyczny sceptycyzm, czy wyostrzony krytycyzm, jaki cechował niektórych krytyków Le Roy Laduriego i Ginzburga sprzed lat. Stanowisko Sikorskiego to likwidatorski nihilizm. To negacja teorii historii, antropologii historycznej, czyniona z powodu bezrefleksyjnego przywiązania do rygorów trywialnego empiryzmu.

Dla kulturologicznej metodologii historii zastanawiające jest, jak można nie odkryć elementarnej różnicy między dyskursami naukowymi/humanistycznymi czy historycznymi, przez tyle lat uprawiając jeden z nich. Jakie to seminarium przez tyle lat nie rozpoznało, że Sikorski nie wie, iż są historycy, a także ci, którzy nimi nie są, a o dziejach, historii jako nauce, historii jako dziedzinie kultury, o pisarstwie historycznym, *etc.* od wieków piszą. Dawno, jeszcze przed ukonstytuowaniem się szkoły metodycznej, przyznano im prawo do istnienia¹⁴. Jak to się dzieje, że Sikorski nie zauważył, iż nie oczekuje się od nich wszystkich, aby ich refleksja była „zwykłym osądem historyka”.

Dogmatyczny „metodysta” przeciwko metodologii

Sikorski wybrał jako pretekst dla swej krytyki książkę K. Polasik, a faktycznie obdarza fobistyczną niechęcią metodologię historii (czy humanistyki), być może dlatego, że jej statusu nie rozumie.

¹³ Termin „paradogmat” stosuję w odcieniu lekko cudzysłowowym wobec zasadniczego znaczenia, jakie ustanawia Josef Mitterer, *Tamta strona filozofii*, Warszawa 1996, s. 9.

¹⁴ Odwzajemniam słówko o seminarium, na które być może uczęszczał i gdzie terminował Sikorski, ponieważ od czasu do czasu wysuwa on pod adresem seminarium K. Polasik i Wojciecha Piaska jakieś enigmatyczne insynuacje. Chodzi mu zapewne o tzw. moje (W. W.) seminarium, które prowadzi od śmierci J. Topolskiego, tj. od 1998 r., ostatnio (od 2010 r.) jako Interdyscyplinarne Seminarium Historyczne przy Poznańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Seminarium, które współtworzy kilkunastu profesorów, kilkunastu doktorów i doktorantów z wielu ośrodków naukowych w kraju reprezentujących nauki humanistyczne, w tym w większości historię.

Wiele jego zarzutów odnosi się do metodologii i metodologów *tout court*. Czasami napomyka krytycznie o tym, że tak się ostatnio w tym gronie czyni, jak czyni autorka szkiców o antropologicznym rekonesansie historyka... W końcu swego tekstu wskazuje, że jej sposób postępowania nie odbiega od ostatnio kulturowanego i to nie tylko w Polsce. Można oczywiście pytać, dlaczego wtedy, gdy podważa on ignorancko fundamenty dyskursu metodologicznego, nie może posłużyć się innym odniesieniem do literatury metodologicznej. Przecież w niej znalazłby rozpowszechniony styl myślowy charakterystyczny dla teorii historii.

Czytelnik nie powinien przeoczyć, że to, co głosi Sikorski, to niezgoda na istnienie jakiegokolwiek autonomicznej refleksji nad historią, tej, która nie byłaby „zwykłym osądem historyka” lub nim poprzedzona. Wszyscy: historyk historiografii, metodolog historii, filozof historii, teoretyk historii, czy kto jeszcze, mieliby najprzód robić to, co historycy i „znawcy metodyki badania historycznego”, w tym źródłoznawcy, a potem nad tym deliberować metodologicznie. Świadczą o tym jego pretensje do propagatorów „zwrotów w humanistyce”, że nie stworzyli nowego źródłoznawstwa. Sikorski sądzi, że to historycy *proper* konstytuują źródłoznawstwo. Zgoda, tak bywa, wiadomo, że nie zootechnicy czy astronomowie, ale czy źródłoznawstwo musiał uprawiać i je „nowe” jakoby „stworzyć” Le Roy Ladurie? Doprawdy? Albo mieli je tworzyć interpretatorzy i głosiciele kolejnych „metodologicznych *turns*”? Może w takim razie zgłosimy pretensje pod adresem historyków innych domen historycznych i orientacji badawczych, że nie są źródłoznawcami? Czy może dla Sikorskiego źródłoznawca to po prostu znawca źródeł? Czy tak?

Wówczas zapewne metodolog to *per analogiam* znawca metod? Czy tak? Dla tradycyjnych mediewistów zapewne: mediewista równa się źródłoznawca, bo pracuje na źródłach, zna je¹⁵, a metodolog wedle tej etymologizującej filozofii świata to znawca metod badania. Przy okazji, owa metoda jest wedle Sikorskiego jedna i od lat wielu niezmienna, bo przecież, jak twierdzi: „Różnego rodzaju «zwroty» metodologiczne ogłaszane w ostatnich dekadach nie oferowały żadnych zmian u samych podstaw badań historycznych”? (s. 486; podkreśl. W. W.). Jedna, i to opisywana przez metodykę badania historycznego, więc metodologia jest zbędna, bo przecież metodyka to teoria jedynej słusznej od dawna istniejącej metody będącej „u samych podstaw badań historycznych”.

¹⁵ Bywa, że wszystkie źródła, wtedy gdy w jego specjalności jest skończona i „ogarnialna” ich ilość. Skończona jego zdaniem jest i ich zawartość informacyjna/poznawcza.

Ciekawe, jak wielu historyków reprezentujących najwspanialszą domenę poznania historycznego – mediewistykę – zgadza się z tymi opiniami?

Sikorski nie rozumie statusu metajęzykowego teorii historii, metodologii historii, filozofii nauki, pewnie i filozofii historii, a nawet i źródłoznawstwa, a jednak postanowił zadebiutować w dojrzałym wieku w roli krytyka czegoś, czego przez większość życia nie pojął i co go zapewne złościło od lat.

Demagogiczny i dogmatyczny empiryzm jest bowiem nie do pogodzenia z refleksją, która za problematyczne – a więc godne refleksji, namysłu i badań – uznaje właśnie i przede wszystkim to, co „normalny osąd historyka” w wydaniu Sikorskiego uznaje za przesądzone i oczywiste, a przy okazji trywialnie fałszywe.

Sikorski zyskał co najmniej milczące wsparcie w środowisku, które z różnych przyczyn nie chce powiedzieć, co o tym jego „metodologizowaniu” sądzi. A więc milczą jemu „bliźni w profesji”, sądząc, że to, co pisze Sikorski, to jest coś z metodologii, której nieznaną sobie owi bliźni/mediewiści, w swej jakiejś istotnej części, chlubią, na której się nie znają. Nie znają, bo: nie muszą, jest to niegodne poznania, nikomu niepotrzebne... (właściwe podkreślić). Sikorski wspiera się konstatacjami i lekturami z branży metodologicznej, ale wagi tych, zaczerpniętych, skądinąd trywializowanych przez siebie opinii, nie jest w stanie ocenić. Nie wie, że owe przytoczenia i kryptoprzytoczenia nie są do pogodzenia z jego myśleniem demagogicznego „metodysty”¹⁶.

Autokrytyka

Dariusz Sikorski karmi się krytykanctwem i pewnie niestety na maluczkich robi wrażenie ostoi, skądinąd bardzo potrzebnego, praktycznie nieistniejącego w naszej wspólnocie, krytycyzmu.

¹⁶ Zdaję sobie sprawę, że termin „metodysta” jest niejako zajęty, ale korzystam z owej jego dwuznaczności wtedy, gdy w zestawieniu z określeniem „dogmatyczny” daje mi dodatkową satysfakcję z asocjacji znaczeniowej. „Dogmatyczny metodysta” to oddany wierze w arsenał metod standardowego postępowania badawczego. Standardowego oczywiście w rozumieniu naiwnego empiryzmu. Przy okazji, współczesny filozof historii, teoretyk historii, metodolog nie podejmuje się „standardowej oceny historyka”, po to, aby konkurować z analizowanym autorem w dziedzinie badań, jakie tamten prowadzi. Gdy ktoś (metodolog, historyk historiografii, teoretyk historiografii) analizuje prace, dorobek, koncepcje Herodota, Rankego, Gibbona, Micheleta, Lelewela, Szujskiego, Blocha, szkoły „Annales” czy szkoły krakowskiej, to czy zajmuje się w konkurencji z nimi badaniem świata przez nich badanego? Konkuruje z nimi w „dosłownym rozumieniu źródeł”?

Owa postawa jest w fazie swego apogeum, gdy krytykuje wcześniej przyjęte przez siebie tezy. I tak, *de facto*, w końcu swej recenzji na marginesie przyznaje, że: „Zarówno z punktu widzenia warsztatu historyka, jak również z punktu widzenia antropologów (przynajmniej tych, którzy się w tej sprawie wypowiedzieli) obie prace, a zwłaszcza monografia o Montaigne, budzą bardzo poważne zastrzeżenia. Po uwzględnieniu wszystkich wątpliwości warsztatowych wobec obu prac historyków — dodajmy, że tradycyjnie wykształcony — nie zauważy w nich owej dodatkowej wartości, mającej się ujawnić przez zastosowanie antropologicznej perspektywy, która jest bardziej deklarowana niż rzeczywista. Wpisanie ich w nurt antropologii historycznej nie jest więc uzasadnione” (s. 508; podkreśl. W.W.).

Wtedy, gdy historyk zauważy błędy warsztatowe pracy, to nie zauważy w nich owej dodatkowej wartości, mającej ujawnić się przez zastosowanie antropologicznej perspektywy, twierdzi nasz autor. Powyższą opinię konfrontujemy z opinią znajdującą się u dołu strony 486. Tam też, z pochopnie przyjętych przesłanek i pochopnie wyprowadzonych konkluzji, docieramy do stwierdzenia: „O antropologicznym charakterze pracy historyka decyduje więc pewna dodatkowa wartość, która odróżnia optykę antropologiczną od standardowego podejścia historyka do badanego problemu w momencie interpretacji danych”.

Tu między innymi odnajdujemy dwoistość badania historycznego, jaką wyznaje Sikorski: najpierw rekonstrukcja czystych danych — „dosłowne znaczenie tekstu”, a później następuje moment interpretacji. Ten nie do obrony sposób widzenia poznania i badania historycznego użyty został do sformułowania tezy: Jeśli na poziomie tzw. faktów historiograficznych (bo przecież chodzi o interpretacje tzw. danych źródłowych, a nie o „czyste” dane źródłowe) popełnisz błędy interpretacyjne, to nie istnieje już poziom interpretacji — w tym także z ducha antropologii historycznej czynionej¹⁷.

Zamiast powiedzieć, zgodnie z doktryną empiryzmu: fałszywe dane prowadzą do fałszywych interpretacji na nich opartych, Sikorski twierdzi: fałszywe dane nie fundują interpretacji (w tym „o dodatkowej wartości” wynikającej z optyki antropologicznej). One w ogóle likwidują interpreta-

¹⁷ Sikorski bierze za motto do wstępu do swej książki opinię Gerarda Labudy: „gdy się wadliwie odczyta jeden zapis źródłowy i koniecznie pragnie się dowieść słuszności własnej interpretacji, to w konsekwencji trzeba dokonać falsyfikacji całego zespołu otaczających go faktów” (G. Labuda, *Studia*, t. 1, s. 322, co prawdopodobnie oznacza pracę *Studia nad początkami państwa polskiego*, t. 1–2, Poznań 1987–1988, t. 1, s. 481), D. A. Sikorski, *Kościół w Polsce za Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Rozważania nad granicami poznania historycznego*, Poznań 2011, s. 11.

cję. Twierdzi przecież nasz mediewista, że gdy „zauważy błędy warsztatowe pracy”, to „nie zauważy w nich owej dodatkowej wartości”...

Rozumiem, że tę doktrynę likwidacyjną stosuje Sikorski do wszelkich prac mediewistycznych, np. wtedy, gdy ktoś w klasycznej pracy mediewistycznej popełni błędy, to tym samym mediewista poznański likwiduje ją jako tę, która zawiera warstwę interpretacyjną. Dalej, okaże się, że jeśli badacz inaczej niż Sikorski odczytuje źródło, to Sikorski nie zauważa warstwy interpretacyjnej swego oponenta¹⁸.

Skoro, w rzeczy samej, wiedza interpretująca interweniuje już w momencie dostrzegania tzw. danej źródłowej, i ona to preustanawia jej sens, to Sikorski *de facto*, lansując swoją tezę, twierdzi, że każdy, kto różni się od niego w interpretacyjnym rozumieniu tzw. danej źródłowej, błądzi.

Dlaczego tak jest? Dlatego, że przecież — wedle niego — istnieje tylko jedno „dosłowne (filologiczne) znaczenie tekstu”, bo przecież nie dwa „dosłowne”. Dwa dosłowne — to byłoby wewnątrznie sprzeczne. Z dwóch „dosłownych” znaczeń różnych jedno musiałoby być „niedosłowne”¹⁹.

Wniosek generalny: myślenie Sikorskiego to dogmatyczny, naiwny empiryzm. Stanowisko to, gdyby faktycznie było wskazówką dla praktyki badawczej historiografii, oznaczałoby jej likwidację.

O tych, co „tkwili pod względem metodologicznym w siermiężnym marksizmie”

Sikorski konfabuluje, komentując cytaty z Guriewicza (przyp. 48). Spekuluje na temat audytorium, przed którym rosyjski mediewista wygłaszał referat: „nie można nie uwzględnić tego faktu”²⁰, że jest to tekst wygłoszony

¹⁸ Ten sposób postępowania to sedno myślenia Sikorskiego. Zwracałem na to uwagę na jego kolokwium habilitacyjnym.

¹⁹ To jest zasadniczy kłopot, na jaki narażona jest doktryna, która za rozstrzygające uznaje odniesienie różnych interpretacji, np. historycznych, do rzeczywistości pozajęzykowej (tzw. przeszłości). Nie dość, że owo odniesienie odbywa się i tak w sferze myśli (i w języku), to *de facto* przecież odnosi się do rzeczywistości danej tylko w opisie (języku). Gdyby jednak historyk ufał, że odnosi się do rzeczywistości poza (przed) językową (zmysłowo/praktycznie uchwytną), to przecież jej, jak sam twierdzi, zazwyczaj nie ma, bo — jak sam twierdzi — jest przeszłością.

Mało tego, po przyjęciu „dosłownego znaczenia tekstu” to dosłowne należy zawsze do tego, który „o dosłownym” mówi, bo przecież ten drugi, który utrzymuje, że ma „dosłowne znaczenie”, musi się z perspektywy pierwszego mylić; jego nie jest „dosłowne”. Gdy się jest nieświadomym choćby tych tylko okoliczności, to — tak jak Sikorski — swawoli się do woli.

²⁰ Fakt to jest taki stan rzeczy, którego „nie można nie uwzględnić”. Natomiast dokumentować go, że nim jest, nie trzeba, wystarczy go wyssać z niewiedzy Sikorskiego. Udokumentowana jest w druku publicznym moja obecność na seminarium u Guriewicza, także i na tym, o którym konfabuluje Sikorski, jak i innym, na którym już ja

w 1987 r. dla szczególnego audytorium, jakim byli w tym czasie rosyjscy historycy, członkowie Akademii, w dużej masie tkwiący jeszcze pod względem metodologicznym w siermiężnym marksizmie”, donosi nam ku przestrodze poznański historyk²¹.

Sikorski symuluje znajomość realiów drugiej połowy lat osiemdziesiątych XX w. w Akademii (duża litera Sikorskiego).

Po pierwsze, audytorium to jedynie, czy aż, seminarium Guriewicza (a nie jakieś zebranie członków Akademii), w którym uczestniczyli — i już wcześniej na nim bywali, tj. przed rokiem 1987 — uznawani przez władze Instytutu za nieprawomyślnych zwolennicy historycznego myślenia spod znaku powstałego później w 1989 r. czasopisma „Odissiej”²².

w 1987 u Guriewicza referuję. Nie traktuję tej okoliczności jako jedynie poświadczanej przez tzw. bezpośredniego świadka (czyli przeze mnie), ale i wskazuję stosowną literaturę przedmiotu (tu jej fragment w przyp. 22).

²¹ Dalej napisał Sikorski o tym, że cytowana opinia Guriewicza „jest jak najbardziej słuszną”. Skoro więc uznaje ją za słuszną, to cóż ma do rzeczy ostrzeżenie o charakterze gremium, przed którym ją wygłosił? Czy jest ona swego rodzaju insynuacją możliwej tendencyjności Guriewicza ze względu na audytorium jego wystąpienia? To podwójnie obraźliwa — w kontekście jego powszechnie znanej drogi życiowej — imputacja.

²² Sporo jest świadectw ówczesnej sytuacji w środowisku historyków rosyjskich. Choćby Н. Е. Копосов, *Хватит убивать кошек! Критика социальных наук*, Москва 2005, s. 193–209; Y. I. Bessmertny, *August 1991 as Seen by a Moscow Historian, or the Fate of Medieval Studies in the Soviet Era*, „The American Historical Review” 97, 1992, 3, s. 803–816; czy znany tekst Guriewicza: А. Я. Гуревич, „Путь прямой, как Невский проспект”, или *Исповедь историка*, „Одиссей” 1992, [wyd. 1994], s. 7–34, o tych czasach na s. 17; padto: „Быть дольше в стороне мне казалось невозможным...” (последнее интервью А. Я. Гуревича, 11 июня 2006 года), „Новое литературное обозрение” 2006, 81; А. Я. Гуревич, *Lezioni Romane, Antropologia e cultura medievale*, red. C. Castelli, przedm. G. Arnaldi, Torino 1991. Clara Castelli napisała obszerną biografię uczonego, mamy stosowne dane we wstępie, a także na s. 78 pracy i wiele innych.

À propos, Sikorski napisał o K. Polasik: „Musi to budzić szczególnie duże zdziwienie [że nie skorzystała i nie odnotowała tłumaczenia na francuski całości akt z Pamiers — przyp. W. W.], gdyż wspomniana tłumaczenia zarówno akt J. Fourniera, jak i procesu Menocchia są od lat dostępne w bibliotece rodzimego Autorce Instytutu Historii UAM!”. Rewanżuję się brakiem zdziwienia, że Sikorski nie skorzystał z możliwości zapoznania się z tekstem Guriewicza w „Odissieju”, który od lat spoczywa — tym razem w bibliotece rodzimego Sikorskiemu Instytutu Historii UAM. Dlaczego mnie nie dziwi? Dlatego, że tezy, które wygłasza, nie muszą być niczym poparte, o ile pochodzą wprost z jego, tj. Sikorskiego, pewnością. Jednak już tym razem dziwi mnie, że nie skorzystał Sikorski z podręcznika do historii szkół przedmaturalnych traktującego m.in. o *perestrojce*, czy *głasności*, aby zwątpić w swe stereotypy i choćby sprawdzić, czy aby na pewno audytorium Guriewicza na seminarium z psychologii historycznej w 1987 r. (М. М. Кром, *Историческая антропология*, wyd. 3, С.-Петербург-Москва 2010, s. 132; Е. М. Михина, *Межинститутский семинар по исторической психологии*, „Одиссей” 1989, s. 183–190; eadem, *Размышляя о семинаре. Субъективные заметки*, „Одиссей” 1993, [wyd. 1994], s. 300–318; eadem, *Хроника*, „Одиссей” 1996, s. 349–351) stanowili „członkowie Akademii, pozostający w okowach siermiężnego...”. Spis referentów do-

Był to referat wygłoszony „w swoim gronie”, dla osób zaprzyjaźnionych ideowo oraz dla grupy historyków przestrajających się wraz z trwającą już pieriestrojką. „Siermiężni marksiści” — jak ich z niesiermiężną łatwością określa Sikorski, bo badał horyzonty intelektualne historyków rosyjskich za pomocą swych kategorii propagandowych — którzy jakoby byli/bywali na seminariach Guriewicza, to wymysł Sikorskiego. Seminarium z psychologii historycznej, powstałe formalnie w maju 1987 r., przemianowane później (w 1995 r.) na seminarium z antropologii historycznej, było już wcześniej inicjatywą znaną. Owi „członkowie Akademii” to kolejny bluff Sikorskiego. Guriewicz nigdy nie referował przed członkami Akademii. Uczestnikami seminarium byli w przeważającej mierze pracownicy Instytutu wsieobszycznej historii Akademii nauk SSSR oraz ludzie z innych instytucji naukowych, a nie członkowie Akademii²³. Mało tego, w czasach pieriestrojki referat/artkuł ten został opublikowany w „Woprosach filozofii” (1988, 1), w latach minionych sztandarowym piśmie reżimowej filozofii, który w tych latach publikował już ponownie m.in. Guriewicza, bo przestawał być reżimowym²⁴. Sikorski w swej nonszalancji i niewiedzy nawołuje, aby „uwzględnić fakt”, że członkowie Akademii „w dużej masie

wodzi, że wprost przeciwnie. Audytorium nie stanowili bynajmniej ani „członkowie Akademii”, ani „pozostający w okowach siermiężnego”, cokolwiek to znaczy w języku infantylnie ideologicznym. Członkowie Akademii *in gremio* chadzali owszem, ale na zebrań, ale *in gremio* na seminaria historyczne już nie, bo fizycy, biologzy, medycy i inni uczeni członkowie Akademii razem na seminaria nie chodzili. Nie dość, że Sikorski tak oto ustanowił fakt, jak tu ukazujemy, to podpowiada, że w kontekście opinii Guriewicza „nie można go nie uwzględnić”. Oczywiście, w jaki sposób owego faktu „nie można nie uwzględnić”, ani piśnie Sikorski, bo okazać by się musiało, że niby jak? Nijak? A gdyby nawet, to i tak to nic się ma do rzeczy, bo przecież opinia Guriewicza była zdaniem Sikorskiego słuszna, więc uwzględnić co niby trzeba? To, że słuchaczami byli będący w okowach siermiężnego...?

²³ Pracownik np. IH PAN w Warszawie to nie to samo, co członek, np. rzeczywisty, PAN. Podobnie w Związku Radzieckim i w Rosji i do dzisiaj.

²⁴ Następnie tekst, publikowany u nas dużo później przez „Konteksty”, ukazał się po francusku: A. I. Gourevitch, *Histoire et anthropologie historique*, „Diogène” 1990, 151, s. 79–94; rozważania na temat antropologii historycznej znaleźć można także w: A. I. Gurevitch, *La double responsabilité de l'historien*, „Diogène” 1994, 168, s. 82–83, i wielu innych pracach Guriewicza. Zdaniem Michała Kroma, Pawła Uwarowa i moim zwrot antropologiczny w twórczości Guriewicza dokonał się: według Kroma w drugiej połowie lat sześćdziesiątych XX w., Uwarowa w 1966 (!), a moim w 1970 r. O tym: В. Вжосек, *Культура и историческая истина*, Москва 2012, s. 4 i przyp. 2. Co najmniej od połowy lat sześćdziesiątych XX w., ale i wcześniej, Guriewicz nie występowałby z referatem przed członkami Akademii Nauk, i to takimi, o których można byłoby napisać coś w tym rodzaju, co napisał Sikorski. Ani on, ani oni — mówiąc delikatnie — nie byli taką sytuacją zainteresowani. Ci ostatni co najwyżej byli zainteresowani pozabawianiem go pracy i paszportu lub milczeniem na ten temat. Minimalna informacja o Guriewiczu zakłada ten powszechnie znany kontekst jego życia.

tkwili jeszcze pod względem metodologicznym w siermiężnym marksizmie”. Okazuje się, że tkwić można w czymś... „pod względem metodologicznym” i Sikorski wie, że „w siermiężnym marksizmie” można tkwić, więc skoro można, to tkwili... Tak rodzą się opinie Sikorskiego. Jak orzekać coś o czasach dawno minionych, to wyczytywać dosłownie ze źródeł, jak o współczesności, to wystarczy ignorancka konfabulacja.

Modzelewskiemu wolno, Le Roy Ladurieu — nie.
Kłęska logiki Sikorskiego

Szczytem braku respektu dla prawa niesprzeczności mediewisty poznańskiego jest krytyka przedmiotu badań, jaki ustanowił Le Roy Ladurie w swym słynnym dziele. Oto symptomatyczna wypowiedź naszego mediewisty.

„Autor *Montaillou* dokonał chronologicznej kompresji, tworząc obraz społeczeństwa zawieszony w czasie. To tak, jakby informacje uzyskane od mieszkańców jakiejś współczesnej wsi z różnych okresów z ostatnich trzech dekad zostały potraktowane bez uwzględnienia chronologicznej rozpiętości i wykorzystane do zbudowania wizji danej wspólnoty w jakimś chronologicznym zawieszeniu. Zdając sobie sprawę z przerysowania analogii, sędzę, że nie trzeba zbyt dużego wysiłku, aby wyobrazić sobie bezsensowność takiej rekonstrukcji” (s. 503; podkreśl. W.W.).

Jakie to seminarium licencjackie upoważnia do takiej niefrasobliwości myślowej? Miał dostrzec do końca, że analogia ta, co sam dostrzega, „jest przerysowana”, to brnie z wnioskami z niej. Tu o „bezsensowności takiej rekonstrukcji”. Pytam więc, jaka jest racja wyprowadzenia mocnych wniosków z przerysowanej — jak sam uważa, a ja, bezpłodnej, bo nonsensownej — analogii. Tą racją jest krytykanctwo. To kompromitująca swym brakiem zasadności opinia. Dowód na to, że Sikorski nie rozumie celu badania historycznego, w tym także badania wedle strategii antropologicznej, i posądza Le Roy Ladurieu o błędy tam, gdzie ich nie ma²⁵.

Zanim wskażę sedno pochopności sądów Sikorskiego, wspomnę, że w innym miejscu chwali „kompresję” czasu i, jak zobaczymy, wielkiej przestrzeni, jakiej dokonał — jego zdaniem — Karol Modzelewski. Oto opinia Sikorskiego godna zestawienia z jego — powyżej przytoczoną — krytyką Le Roy Ladurieu.

²⁵ Krótko mówiąc, mam nadzieję, że czytelnik widzi, na jakiej podstawie Sikorski określa przedsięwzięcie badawcze Le Roy Ladurie jako bezsensowne.

„Nie chcąc być gołosłownym, mogę wskazać wśród prac historycznych rzeczywiste zastosowanie metody porównawczej typowej dla antropologii, mianowicie w książce Karola Modzelewskiego o barbarzyńcach w Europie wczesnego średniowiecza. Porównanie zbieżności przekazów źródłowych z różnych kultur wczesnośredniowiecznej Europy barbarzyńskiej pozwoliło K. Modzelewskiemu na przyjęcie założenia, że mamy do czynienia z jednym kręgiem kulturowym. Konsekwencją tego fundamentalnego założenia było to, że odległe terytorialnie i czasowo świadectwa źródłowe mógł K. Modzelewski interpretować łącznie, otrzymując obraz zagadnienia pełniejszy niż w przypadku traktowania ich rozłącznie, a tym samym prowadzenia analizy na podstawie ograniczonej podstawy źródłowej” (s. 492–493).

Kompresja (temporalna i spacja) tu okazuje się zasadna — bo czyniona jest na mocy „fundamentalnego założenia”, aczkolwiek wysnutego — ja powiem, jedynie — ze „zbieżności przekazów źródłowych” (*sic!*) i daje — opiniuje Sikorski — „obraz zagadnienia pełniejszy” (*sic!*) (podkreśl. i zdziwienie W.W.).

Le Roy Ladurie, badając mieszkańców Montaignou w ciągu kilkudziesięciu lat jej trwania, nie może przyjąć założenia, że „mamy do czynienia z jednym kręgiem kulturowym”, bo to „bezsensowne” i „zniekształca obraz społeczeństwa Montaignou”, twierdzi Sikorski (s. 503). Modzelewski natomiast, wedle mediewisty poznańskiego, barbarzyńców Europy może poddać kompresji temporalnej i spacja²⁶, a jakże, bo czyni tak w wyniku „dostrzeżenia w źródłach zbieżności” pozwalających wysnuć, uważa, „fundamentalne założenie” o tym, że „mamy do czynienia z jednym kręgiem kulturowym” (s. 492–493). Barbarzyńska Europa to jeden krąg kulturowy, a góralska wioska Montaignou i jej najbliższe okolice, nie? Modzelewskiemu ponieważ przysługuje „rzeczywiste zastosowanie metody porównawczej typowej dla antropologii”²⁷, w wyniku której bada on Europę barbarzyńską jak jeden krąg kulturowy, wolno mu przyjąć fundamentalne założenie, a francuskiemu historykowi nie wolno. Montaignou na przestrzeni trzydziestu lat nie może być badane jak jeden krąg kulturowy, ale ogromne połacie Europy na przestrzeni kilkunastu wieków owszem.

Rozumowania te to kliniczny przykład stosowania podwójnej miary: jednemu wolno, drugiemu nie. Klęska logiki Sikorskiego.

²⁶ Zasięg czasowy analiz Modzelewskiego to okres od Cezara do XIII w.

²⁷ „Rzeczywiste zastosowanie” — Sikorski stwierdza czegoś „rzeczywiste zastosowanie” — to kolejna perełka terminologiczna.

Likwidacja trwałości

Sikorski wie, jakie było społeczeństwo Montaillou, i wie, że — traktując je całościowo w ciągu 30 lat jako względnie niezmiennie, jak czyni Le Roy Ladurie — zniekształca je. A skąd wie, jak wyglądała społeczność Montaillou? Wie, bo wie! Ale nie powie! To jedna z kluczowych utopii realizmu naturalnego.

Sikorski myśli, że gdy społeczność jakaś pod względem swych cech konstytutywnych, trwałych, specyficznych, osobliwych dla niej, w naszym przypadku wspólnota górali Montaillou, ujęta zostanie jako integralna, obdarzona tożsamością kulturowo-historyczną wspólnota, na przestrzeni 30 lat, to przez to właśnie już zniekształci się ją. Z jednej strony np. badania nad społecznością wiejską Podhala w okresie międzywojennym mające na celu uchwycenie specyfiki kultury wiejskiej górali: sposoby życia, zwyczaje, święta, wierzenia, życie codzienne, kultura materialna, stosunki międzyludzkie *etc.*, gdyby były ujęte syntetycznie, to Sikorski postawiłby tym badaniom zarzut kompresji czasu, bo zawsze będzie już uważał, że historia to badanie zdarzeń/tzw. faktów. To, co stałe, trwałe, prawie niezmiennie, budujące często wiekową tożsamość, nie interesuje go, bo to musiałoby być ustalone jako ustalenie generalizujące dane szczegółowe. A tego nie da się odczytać dosłownie i wprost ze źródeł. Uogólniając jednostkowe, symptomatyczne stany rzeczy, trzeba bowiem mieć ideę interpretacyjną je syntetyzującą, nadto przy okazji takich badań łatwo o jednostkową pomyłkę czy błąd. A to dawałoby Sikorskiemu powód do unieważnienia wszystkiego, co ustala się powyżej, tj. na poziomie reguł, zasad, norm rządzących życiem wioski.

Przy okazji pytanie, czy Sikorski podobnie unieważnia tradycyjne dzieła historiograficzne, jeśli znajdzie lub raczej ktoś mu znajdzie w nich pomyłki, błędy czy przeoczenia? Czy też wtedy unieważnia on gatunek, np. historię *tout court* lub jej specjalistyczny fragment, czy tylko koryguje błędy, poprawia sens syntezy, *etc.*? A może nasz mediewista unieważnia wszystkie badania, które wedle niego stosują kompresję czasu? Czy narracje historyków dotyczące rozległych połączy czasu, generalizujące na temat np. w co wierzono w średniowieczu, jakie były stosunki między rycerstwem a chłopami, dynastiami panującymi czy kościołem a władzą świecką, są charakteryzowane, badane bez „kompresji czasowej”? Czy tak? Wierzenia, życie codzienne i styl myślenia Tatarów w czasach I Rzeczypospolitej są postrzegane z dokładnością i zmiennością wrażliwą na zmiany w latach? Historiografia to tak w ogóle zapis przeszłości w czasie „rzeczywistym”?

Infantylnie wróżbiarstwo

Świadectwem prowincjonalizmu i dziecinady są uwagi Sikorskiego na temat statusu przywoływanej już tu książki K. Modzelewskiego i jego przyszłej recepcji. Cytuję:

„Nieuwzględnienie tej pracy jako produktu antropologii historycznej [przez autorkę, tj. K. Polasik, przyp. mój W. W.] nie budzi mojego zdziwienia, gdyż w tym przypadku przedmiotem badań nie są wysublimowane stany kultury wyższej, ale zwykle przyziemne instytucje życia społecznego, będące przedmiotem wielu współczesnych rozpraw antropologicznych, także tych opartych na nowszych założeniach teoretycznych. Sądzę — sędzi Sikorski — że nie bez wpływu na to przeoczenie jest fakt, że książka Modzelewskiego, choć tłumaczona na kilka języków, nie weszła jeszcze do kanonu dzieł antropologicznych. Francuskie i włoskie tłumaczenia mogą zapewnić szerszy odbiór dzieła K. Modzelewskiego, więc można przypuszczać, że praca ta za jakiś czas zostanie dostrzeżona przez polską teorię historii jako dzieło antropologii historycznej, ale za pośrednictwem i siłą autorytetu zagranicznego (zapewne francuskiego bądź amerykańskiego)” (s. 493).

Trudno o lepszy przykład tandetnego lizusostwa połączonego z wróżbiarstwem.

Nie jest tak, aby istniał związek sprzyjający choćby między tłumaczeniem na kilka języków tego dzieła a jego wejściem najpierw do kanonu dzieł antropologicznych, a później uznaniem go za dzieło reprezentujące antropologię historyczną. Dzięki tłumaczeniom praca K. Modzelewskiego może trafić do większej liczby czytelników i fachowców, ewentualnie prac lepiej czy dobrze znanych, ale dlaczego do dzieł antropologicznych? Może po prostu dzieł historycznych szerzej znanych, np. do kanonu polskiej czy światowej mediewistyki. Zauważmy, Sikorski przewiduje najpierw wejście pracy Modzelewskiego do kanonu dzieł antropologicznych, potem, *via* autorytet z USA lub Francji, nastąpi uznanie dzieła tego jako już nie tylko należącego do kanonu dzieł antropologicznych, ale dzięki „polskiej teorii historii”²⁸ uznanie go za dzieło antropologii historycznej (podkreśl. W. W.).

Trudne zadanie postawiono przed dziełem *Barbarzyńska Europa*: najpierw trafi do kanonu dzieł antropologicznych, a później wyjąć je trzeba z tego kanonu i zapytać polską teorię historii, czy zechce uznać je pod presją autorytetu francuskiego lub amerykańskiego (nie daj Bóg niemieckiego czy angielskiego, nie mówiąc o hiszpańskim, a nie wspominaj

²⁸ „Polska teoria historii” to taki patriotyczny/nacjonalistyczny odłam teorii historii.

nawet o rosyjskim) za dzieło już nie tyle i nie tylko z kanonu antropologicznych dzieł, ale już antropologii historycznej²⁹. Taki oto los czeka książkę prof. Modzelewskiego w najbliższych latach: od tłumaczenia na włoski i francuski do uznania dzieła za reprezentujące antropologię historyczną³⁰. Podziw bierze, gdy się czyta ten przyczynek do rozumienia dziejów nauki historycznej, w tym do pojmowania recepcji prac historycznych i zjawiska metamorfozy gatunku tropem narodowych uniesień teoretycznych.

Nasuwa się pytanie: w jakim trybie Sikorski włączy do kanonu dzieł antropologii historycznej nominowane tu już dzieło, skoro w kanonie tych dzieł nie ma on choćby jednego reprezentanta? Zainauguruje Sikorski ów kanon „kanonizacją” *Barbarzyńskiej Europy*? Wedle jakich kryteriów? Odpowiedzą Amerykanie albo Francuzi i wówczas będzie to opinia „polskiej teorii historii”?

Jednego dobrowolnego i samozwańczego reprezentanta „polskiej teorii historii” chętnego do odegrania nakreślonej tu roli już mamy. Jest nim wizjoner Sikorski. Ale przedtem musiałby zostać on przedstawicielem „polskiej teorii historii”³¹.

Z jednej strony Sikorskiemu wydaje się, że jego dekret wyjmie *Montaillou* z „kanonu arcydzieł antropologii historycznej” (s. 508), z drugiej

²⁹ Zauważmy, że autorytet amerykański musiałby mieć wpływ na polską teorię historii i posiadać (wobec braku, póki co — wersji angielskiej dzieła, pocz. 2012 r.) nie tylko znajomość branżowego języka włoskiego, polskiego lub francuskiego (niemieckiego lub litewskiego), ale nadto potrafić przekonać „polską teorię historii”, że po uznaniu dzieła za należące do kanonu dzieł antropologicznych nastąpiła, a to *via* autorytet francuski albo amerykański, metamorfoza statusu gatunkowego dzieła z antropologicznego na dzieło z antropologii historycznej. Polska teoria historii, z uwagi na swą specyfikę narodową, dokonuje translokacji dzieła, na podstawie dokonanej jego metamorfozy, z kanonu A (antropologia) do kanonu AH (antropologia historyczna). A powód owej translokacji? Otóż polska teoria historii, po zapoznaniu się z polską wersją językową dzieła, uznałaby, że niestety owe obce z gruntu wersje językowe podpadały być może lepiej pod kanon antropologiczny. Jednak po uwzględnieniu specyfiki słowiańskiej narracji historycznej autora zaliczono ostatecznie dzieło do kanonu prac z antropologii historycznej. Proszę sobie wyobrazić, jak sprawcza i wpływowa jest polska teoria historii, ona to historykom mówi, co jest z gatunku antropologii historycznej, mimo że cały świat (Ameryka i Francja, o resztę mniejsza!) twierdzi, że to tylko kanon antropologii (kulturowej/społecznej). Pewnie jakiś Amerykanin lub Francuz kazał polskiej teorii historii tak mówić! Ona taka oto jest „polska”, że jest na posyłki obcych.

³⁰ O tłumaczeniach na litewski z 2008 r. i na niemiecki z 2011 r. nasz wróżbita nic nie wie. (A przecież zgodnie z jego doktryną ktoś, kto nie cytuje, to nie zna — patrz replika K. Polasik-Wrzosek).

³¹ Zadanie jednak jest trudne: trzeba wprzód z teorii historii uprawianej w Polsce lub przez Polaków na obczyźnie uczynić polską teorię historii. Można ją np. znacjonalizować, ale jak? Czy przez upaństwowienie? Albo powołać od podstaw polską teorię historii — *sui generis* narodową?

roi sobie, że jego przepowiednia co do losów *Barbarzyńskiej Europy* ziści się i „siłą autorytetu zagranicznego (zapewne francuskiego bądź amerykańskiego) zostanie dostrzeżona przez polską teorię historii jako dzieło antropologii historycznej” (s. 493). To już szczyt megalomanii, aby wzywać na pomoc autorytety zagraniczne (wskazywać, skąd mają/mogą pochodzić?).

Ponadto trzeba zapytać na koniec: po co ryzykować — *per fas et nefas* — na konto autora dzieła takie dziecinne wróżby? Co one tu wnoszą? A jak się nie spełnią jeszcze przez czas jakiś lub nigdy, to co? Może wyniknie z tego porażka recepcji tego dzieła? Ufam, że czytelnicy zauważą, że to tylko Sikorskiego infantylne wróżenie z fusów, taki rodzaj tandetnego podhaczania się pod uznaną markę respektowanego uczonego.

Ten fragment to próbka (taki przypadek mikrohistorii) myślenia i pisania Sikorskiego. Trudno zrozumieć, jak wpadł na pomysł, że *Barbarzyńska Europa* to dzieło z gatunku antropologii historycznej. Skoro neguje on klimaty antropologiczne w *Montaillou*, w tym sam ich „w sposób oczywisty”, „na swój użytek” nie widzi, to jak wobec tego dostrzegł je w pracy K. Modzelewskiego? A może dlatego, że — jak stwierdza Sikorski — analizuje on „nie stany wysublimowanej kultury wyższej...”³², lecz „przyziemne instytucje życia społecznego”, a może dostrzegł „rzeczywiste zastosowanie metody porównawczej charakterystycznej dla antropologii”? Wątpię...

Prowincjonalizm mediewisty

W sytuacji, gdy odzegał się Sikorski od uznania jakiegokolwiek pracy historycznej za spełniony pozytywnie przykład antropologii historycznej, pozostaje mu — pławiąc się w oryginalności swej opinii skazującej go na samotność — snuć wizje o tym, jaką to drogę przebywa już, od kolejnych swych wersji językowych 2004, 2006, 2008 r.³³ poprzez 2012 r. dzieło Modzelewskiego, aż po czasy, kiedy spełni się jego prorocstwo. Uzyska ono status dzieła antropologii historycznej, na podstawie już tylko „nowszych założeń teoretycznych antropologii”, a nie bynajmniej założeń antropologii historycznej. Bo przecież antropologia historyczna to gatunek ciągle,

³² Pomyłka dużego kalibru co do tego, że antropologia historyczna zajmuje się kulturą „wyższą” lub elitarną. Jest, w dominującej mierze i wręcz doktrynalnie, przeciwnie.

³³ Sikorski wymienia francuskie wydanie *Europe des Barbares*, Paris 2006 i włoskie: *L'Europa dei barbari. Le culture tribali di fronte alla cultura romano-cristiana*, Torino 2008, spekuluje o karierze dzieła, ale nie napomyka o wydaniu niemieckim: *Das barbarische Europa. Zur Sozialen Ordnung von Germanen und Slawen im frühen Mittelalter*, wpraw. E. Mühle, Osnabrück 2011, oraz litewskim: *Barbarų Europa*, Vilnius 2008.

wedle wyobrażeń Sikorskiego, pasożytujący na antropologii i wystarczy skorzystać z „nowszych założeń teoretycznych z pola antropologii”, aby awansować do miana pracy z antropologii historycznej. Przy czym możliwe, że w odniesieniu do osławionej tu *Barbarzyńskiej Europy* stanie się to dopiero wtedy, gdy owe dzisiaj „nowsze trendy” teoretyczne przestaną być „nowsze” i staną się „nienowsze”, tj. np. *passé*. Wtedy to też antropologia historyczna à la Sikorski jako ariergarda awangardy („L’arrière-garde de l’avant-garde” — Roland Barthes o historykach) „nienowszych już założeń teoretycznych” uzna wreszcie dane dzieło za wykwit antropologii historycznej³⁴.

I tu znowu, powiedzmy wyraźnie i serio, nie zgadzam się: nie wystarczy oprzeć badanie historyczne na „nowszych założeniach teoretycznych antropologii”, aby uzyskać dzięki temu dzieło antropologii historycznej. Wydaje się, że raczej dzisiaj jest już tak, że reguły metodologiczne antropologii historycznej stosowane są i kontrolowane przez wspólnotę badaczy tej branży, historyków historiografii, ewentualnie czujących na gatunkowość narracji historycznych historyków. I to oni decydują o tym, czy nowe dzieło jest z tego nurtu. Na przykład historia à la Braudel, pomimo czerpania onegdaj z ówczesnych „nowszych założeń teoretycznych antropologii” albo bliskich antropologii lub niekiedy przez nią trafiających do innych nauk o człowieku (strukturalizm, funkcjonalizm, dyfuzjonizm, a może i np. marksizm strukturalistyczny francuski), nie stała się w mniemaniu środowiska przedsiódką antropologii historycznej. Nie powstała antropologia historyczna à la Braudel. Ani wtedy, ani teraz nie wystarczy wziąć to, „co nowsze” z antropologii i zastosować do historii, aby z tego powstała praca z antropologii historycznej.

Antropologia historyczna to nie jest także dyscyplina oczekująca, co na jej pomysły powiedzą antropolodzy. Antropologia historyczna nie musi podobać się etnologom i być akceptowana przez antropologów, ani też antropologów pracujących na empirii historycznej. Legitymizowana jest przez antropologów historycznych lub historyków. Podobnie demografia historyczna nie musi już dzisiaj szukać uznania/akceptacji metodologicznej u demografów czy badaczy populacji, a tym bardziej genealogów. Historia gospodarcza nie legitymizuje się poprzez uznanie jej przez współczesnych ekonomistów. Jeśli ono zdarza się, to dobrze, może przysporzyć retrospektywnej ekonometrii Nobla, ale nie musi jej na co dzień legitymizować ani metodycznie, ani metodologicznie. Decy-

³⁴ Pamiętamy jednak, że te rozważania — angażujące Bogu ducha winne dzieło K. Modzelewskiego — są sprowokowane gimnazjalną wyobraźnią metodologiczną i specyficzną subtelnością obyczajową i etyczną Sikorskiego.

dujące są standardy historii gospodarczej lub jej określonej orientacji, ewentualnie standardy historiografii *tout court*.

Antropologia historyczna nie jest weryfikowana metodologicznie przez antropologów, bo nie jest retrospektywną antropologią kulturową, lecz suwerenną dyscypliną historyczną.

To nie dwa w jednym, lecz już jedno z dwóch substratów powstałe drzewiej. Antropologia historyczna ma już swoje standardy poznawcze/badawcze i swoją nad sobą samą refleksję naukoznawczą. Dlatego też wszelkie opinie antropologów lub z perspektywy antropologii poczynione, np. o obserwacji bezpośredniej, w szczególności o metodzie porównawczej czy badaniu terenowym, stanowiące, że nie spełniają one wyobrażeń/standardów metodologicznych antropologów, nic tu są do rzeczy. Antropologia historyczna nie zamierza być retrospektywną antropologią, ani antropologią przeszłości (historii). Tak więc, na przykład, nikt przy zdrowych zmysłach nie twierdzi, że antropologia historyczna lansuje metodę badania terenowego, i to pojmowanego jako fizyczna obecność badacza w kulturze badanej³⁵.

Z kolei jeśli historyk uznaje, że inspiracją dla wyobraźni historyka jest naśladowanie — myśleniem/narratywizowaniem — antropologa doświadczania świata w trakcie badania terenowego, poprzez jego obcowanie ze źródłem, poprzez swego rodzaju empatię *via* źródło, to podkreślmy: o tyle obserwacja uczestnicząca jest analogonem dogodnym do opisu operacji historiograficznej w dziedzinie antropologii historycznej, o ile uprawnione jest sądzić o możliwości zajścia empatii/rozumienia, „wczucia się”, tak jak je zamyślił W. Dilthey w badaniu historycznym. Nie odrzuca się Diltheyowskiej idei „wczucia się” tylko dlatego, że nie jest możliwa translokacja badacza w wiek — dajmy na to — XVI.

Nie obawiajmy się, w historiografii *nihil novi sub sole*

Sikorski wygłosił zadziwiającą opinię, że kultowe prace antropologii historycznej nimi nie są, bo nie mieszczą się w standardzie badawczym

³⁵ W przekonaniu tym przejawia się idea, że obserwacja uczestnicząca to przede wszystkim uczestniczenie cielesne, zmysłowe, fizyczne, a więc doświadczenie przeżycia poprzez uczestniczenie, a przy okazji obserwacja czyniona w kulturze badanej. Sądzimy inaczej: bez wiedzy o kulturze badanej, kompetencji percepcyjnej, wrażliwości i talentu, z samej obecności fizycznej kogoś w kulturze badanej nic nie wynika. O wiele ważniejsze są horyzonty obserwacyjne, hipotezy konceptualne, zmysł abstrahujący i generalizujący, bagaż wiedzy komparatystycznej badacza niż „fizyczna obecność w świecie badanym”. Empirysta tego nie zaakceptuje, bo sądzi, że wiedza, poznanie bierze się z doświadczenia, tu życia człowieka w kulturze badanej, na którym to byciu i poznaniu odcisnę się jak w plastelinie świat doświadczany.

szkoły metodycznej. My powiemy, że owe dzieła dlatego uznawane są za mistrzowskie realizacje antropologii historycznej i arcydzieła historiografii, że w sposób śmiały i twórczy przekraczają okowy para-dogmatu badania historycznego powstałe jeszcze w XIX w., bo ich autorzy wiedzą, że już od kilkudziesięciu lat pisanie historii odbywa się pomimo ich istnienia, wedle nowych inspiracji płynących od innych nauk o człowieku, z nowoczesnej humanistyki i współczesnej teorii poznania historycznego.

Antropologia historyczna nie istnieje, twierdzi Sikorski. Powstanie dopiero wtedy, gdy świat za pośrednictwem Amerykanów lub Francuzów uzna książkę pisaną wedle „nowszych trendów teoretycznych antropologii” za takową. Dlaczego nie istnieje antropologia historyczna? Dlatego, że żadna praca nie przetrzymała testu metodycznego mediewisty Sikorskiego³⁶, tym samym na poziomie interpretacyjnym, tj. pewnie tam, gdzie nie sięgają rygory metody krytycznej, nic antropologicznego nie da się stwierdzić. Nie spodziewajmy się więc, że na pytanie Sikorskiego: „dlaczego w takim razie obie prace za antropologiczne uchodzą” uzyskamy od niego coś więcej niż: „Nie siląc się tu na próbę dania całościowej odpowiedzi, co wymagałoby osobnej rozprawy z historii historiografii, można wskazać na samą tematykę i charakter wykorzystanych źródeł. Droga prostego skojarzenia przedmiot badań obu historyków — mieszkańcy wsi — przywodził na myśl przedmiot dociekań etnografów w Europie, jeszcze nieprzemianowanych w latach siedemdziesiątych na antropologów, a akta inkwizycyjne na podstawie ich pobieżnego oglądu mogły uchodzić za ekwiwalent wyników badań terenowych” (s. 508). Czyja to jest opinia? Sikorskiego? Zagroził nam, jak to ma w odruchu, próbą „całościowej” odpowiedzi, ale nie silił się tu — tj. w konkluzji tekstu z „Kwartalnika Historycznego” — na nią, bo wymagałaby — jak twierdzi — ona osobnej rozprawy...³⁷. O jakim, pytamy, zjawisku pisałby rozprawę, skoro kwestionuje jego istnienie? Wedle czyjego kryterium wybrałby prace, które za takie są uznawane? Swojego — nie? A w takim razie czyjego?

Kolejne zwroty w kulturze i humanistyce w drugiej połowie XX w. — zdaniem Sikorskiego — nie wywołały żadnych istotnych zmian w stano-

³⁶ Testy te to próby, jakim empiryzm poddał najbardziej bodaj znane dzieła antropologii historycznej: *Montaillou* i *Ser i robaki*. Naiwny i umiarkowany empiryzm owe dzieła krytykował a Sikorski, jak rasowy fundamentalista, skorzystał z okazji i podłączył się do tej krytyki w sposób na tyle pryncypialny, co i pochopny. Pozbawił je miana mistrzowskich, klasycznych, kultowych dla antropologii historycznej, bo utraciły w wyniku tej analizy, czy też nie miały nigdy — jego zdaniem — cech literatury historycznej tego gatunku.

³⁷ Jednak, jak się okazuje, można jednak napisać o przyczynach sukcesu antropologii historycznej? Czyżby istniała?

wieniu wiedzy historycznej. Te bowiem, które aspirowały do płodnych, trwałych, ważnych zmian, nie mogą być za takowe uznane, gdyż nie spełniły wymagań metody krytycznej sprzed ponad stu lat. I nic w tym dziwnego, bo one — powtórzmy — dlatego takie są, że dystansują się od nich.

Cóż zatem na marginesie pracy K. Polasik donosi D. A. Sikorski? Uspokaja nas, nie obawiajmy się, wszystko w historiografii jest jak dawniej, jak wtedy, gdy Stanisław Zakrzewski nazywał Charlesa Segnobosa medjuwistą³⁸.

Suchy Las, marzec 2012 r.

³⁸ „Medjuwista” to termin, jakiego używał w sposób w pełni odpowiadający dzisiejszemu „mediewista” np. S. Zakrzewski, wobec np. Ch. Langloisa, w przedmowie do: Ch. V. Langlois, Ch. Seignobos, *Wstęp do badań historycznych*, z franc. przeł. W. Górkowa, przedm. S. Zakrzewski, Warszawa–Lwów 1912, s. VIII.